

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 30 SIERPNI 1930 ROKU

NR. 35

ANDRZEJ STRUG

28)

ŻÓŁTY KRZYŻ

— Każ podawać Rito! Panie doktorze, nasze niemieckie obiady są teraz takie, że nie wypada na nie zapraszać. Ale tym razem mamy niespodziankę, dar mego przyjaciela, dzielnego pułkownika. Jest to jedyna zdobycz, jaką przywożę z Głównej Kwatery... Odszkodowanie za zawiedzione nadzieje... Pyff, Wager, najedz się raz dosyta i uspokój się!... Nie trap się nad zbawieniem ojczyzny, gdyż jest ona już niejako zbawiona, zajął się tem kto inny... Cóż mogłem na to odpowiedzieć panu pierwszemu generał-kwatermistrzowi? Kiedy tak, to tem lepiej, Ekscelencjo!... Wie pan, jak długo trwała audjencja? Jedenaście minut, z zegarkiem w ręku... Tam w Spa mają zadużo roboty, żeby się zaprzętać głupstwami...

Po owej szynce, która była wspaniałą szynką amerykańską, a do tego zdobytą w angielskich okopach, Rita wymknęła się, a profesor, nie zatrzymując dłużej swego gościa, prosił go, bardzo prosił, żeby przychodził do nich wieczorami. Idzie o biedną Ritę, żeby miała czasami kogoś koło siebie. W samotności rodzą się w niej niebezpieczne przywidzenia, chwilami mówi od rzeczy. Zasklepia się w swoim fantastycznym świecie i niewiadomo do czego to doprowadzi. Rozpacz ogarnia na myśl, co z nią będzie, gdy dowie się o śmierci męża. Przed miesiącem jeszcze był ostatni cień nadziei, że mógł się dostać do niewoli, już były takie wypadki cudownego uratowania całej załogi, nie mówiąc już o potwornej zbrodni komendanta krążownika pomocniczego „Bavalong”, który gdzieś koło Islandji nie dał uratować ani jednego z rozbitków U28. Ale tym razem Anglicy pochwaliliby się zdobyczą, w ich obecnym ciężkim położeniu na morzu nie mogliby nie rozgłosić tego na cały świat — a jednak o UC 17 od dwóch miesięcy cicho... Rita ani jednym słowem nigdy nie wspomni o mężu, tem gorzej...

Korzystając z dobrej sposobności, Helm prosił profesora o parę dni urlopu, chciałby zobaczyć Berlin, stolicę swej odzyskanej ojczyzny. Naturalnie, oczywiście, to mu się należy, więc, powiedzmy — za tydzień.

I stało się tak, że w ciągu całego tego tygodnia, dzień w dzień, doktor Helm bywał u Rity. Ojciec nie przeszkadzał im, gdyż wybrał się w podróż okrężną po oficerskich szkołach gazowych z wykładami. Rita przyjmowała gościa we własnym mieszkaniu na pierwszym piętrze. Za każdym razem witała go tak, jak za pierwszą wizytą, z tem samym zdziwieniem w oczach, jakby go nie poznawała, ale była niemal uprzejmą i czas im schodził do późnej godziny. Dok-

tór Helm odrazu wyzbył się pustych ceregielów towarzyskich i odgadł łatwo, jak ma się zachowywać w obliczu osoby tak dziwnej. Ich rozmowa rwała się, wymilczali się niemal godzinami, a o czemkolwiek zaczynała Rita w swoim stylu fantastycznym, było to przyjmowane tak samo, jak gdyby mówiła rozsądnie. Doktor niczemu się nie dziwił, żadne urojenie Rity nie wytrącało go ze spokoju, potrafił zawsze odpowiedzieć na najbardziej nieoczekiwane pytanie, dostosował się do niej i niejako upodobił. To śnać podbiło samotnicę, gdyż już za trzecią wizytą doktor Helm doznał wyjątkowej łaski, jakiej nie dostąpił w tych smutnych czasach rodzony ojciec.

— Pan mógłby wytrzymać bez wojny? Gdyby się jutro skończyła, jakby pan to przyjął? Wszyscy modlą się, męczą Pana Boga, pragną pokoju, a nikt nie wie, że w ludziach i w całych narodach zaszyły takie przeobrażenia, że nikt nie jest już zdolny do spokojnego życia, nie tylko żołnierze ale i my wszyscy... Ja strasznie nienawidzę wojny, ale drżę przed jej końcem. Boję się, że wszyscy powarjujemy... i zawali się cały świat...

— Jeżeli człowiek wytrzymuje wojnę, to wytrzyma i jej koniec. Mnie się wydaje, że to przejdzie jakoś zupełnie zwyczajnie...

— Strasznie się pan myli! Niech pan zrozumie, że z chwilą wybuchu wojny świat oszalał, bo inaczej te cztery lata byłyby niemożliwością, i naraz od pewnego dnia i godziny z minutami rozbestwionym żołnierzom zakazują mordować się nawzajem! Od danej godziny i minuty każdy wystrzał staje się zbrodnią, karaną przez sądy. Niema już nieprzyjaciela. Życie człowieka nanowo staje się zjawiskiem najważniejszym, a jego śmierć bolesnym dopustem bożym. A to co było? Jakże to wymazać z dusz, z serc, z nałogów czterech i więcej lat?! Zawieszenie broni będzie strasliwym przewrotem i to, co nastąpi potem, może być gorszem od wojny...

— Pani myśli o rewolucjach? To bardzo możliwe, ale wywołają je zniszczenie, zubożenie świata, powikłanie stosunków gospodarczych, bezrobocie, upadek pieniądza i wiele innych zjawisk powojennych, których większości nikt nawet nie zdoła przewidzieć.

— Nie! Nie! Powikłania stosunków gospodarczych? Owszem, ale niechże pan wie, że to przede wszystkim człowiek będzie cały powikłany, portargany, obrócony na opak, niemożliwy... Ja sama — jaka ja jestem? Przeżyłam tyle... Nie ciąży na mnie niczyja krew, ale mój mąż namordował tylu... Ach, może tysiące, tysiące ludzi... Pan wie? Każ-

dego z nich czuję na sumieniu! Widzę, jak toną, walczą rozpaczliwie do ostatnich sił, toną w zimnym strasznym morzu... Za to muszę, muszę być ukarana!

Zakryła twarz rękami, zapłakała krótkim łkaniem i nie otarłszy łez, chwyciła się za głowę. Jej oczy stały się obłąkane, a twarz skaził okropny skurcz rozpacz. Tak zastygła. Claude podniósł się i z wolna podchodził do niej, najpewniejszy, że zaczyna się atak nerwowy, rozglądał się bezradnie, nie wiedząc, co z nią począć. Ale gdy był tuż przy niej, pochylony nad jej fotelem, spojrzała mu zbliska w oczy smutna i zgnębiona.

— I na panu też krew... Jak pan mógł? Niech pan pomyśli...

— Nigdy nie byłem na froncie, ale gdyby moje życie było potrzebne ojczyźnie...

— Pan nie był na froncie? Więc cóż to jest? Ja się nie mogę mylić! Widzę wyraźnie... To wstyd — pan kłamie.

— Pani Rito, kiedyż mogłem być na froncie? Przyjechałem z Ameryki...

— Nie wiem! Nie wiem! Ale mnie od pana odpycha... Strach, wstręt... Widzę duchy ludzi pomordowanych, jak się snują nad pańską głową... Iluż ich tu jest!

— Pani Rito, proszę się opamiętać, to przywidzenie...

Wzniosła ku niemu oczy zatroskane, rozżalone oczy dziecka.

— Proszę mi darować, z pewnością się omyliłam, może to nie były duchy zabitych... Zapewne jakieś inne — teraz na świecie wszędzie duchów pełno... Tułają się nieszczęsne między nami żywymi... I tu snąć się zabłąkały... Ja, proszę pana, nigdy się ich nie boję. One są biedne, skrzywdzone, one nie są mściwe. Szukają ciepła, ukojenia. Jeżeli się je wyczuje, czy spostrzeże, trzeba im coś ze siebie dać. Wie pan, ja, kiedy mi się zjawiają, prosto im zagmam przez chwilę, czasami dłużej. Posłuchają, pocieszą się i odchodzą.

Podniosła się i z wolna w skupieniu, w dziwnym jakimś rytmie, jakby wypełniając tajemny obrządek, zbliżała się do fortepianu.

Tak zaczęła się ich przyjaźń. Déspaix został dopuszczony do jej tajemnego świata, pozwoliła mu być obecnym, gdy grała tylko cieniom, wizjom, swoim smutkom. Wówczas nie dostrzegała jego obecności, zapominała o nim, ale gdy wstawiała od fortepianu, nie dziwiła jej jego zjawa. Zaczynała rozmowę, nieraz nawet nawiązując do tego, o czym mówili poprzednio; godziny gry zdawały się nie istnieć, jak by były długim milczeniem. Muzyka Rity stała się jego opętaniem, dopiero teraz pojął ów tak często powtarzany komunał, że muzyka jest wyrazem spraw, dla których niema słów w ludzkim języku. To, co Rita usiłowała czasami wypowiedzieć o sobie, o świecie, było zawsze mętne, powikłane, pomyłone, dopiero w tonach objawiała się cała do głębi i stawała się zjawiskiem nie z tego świata, a jednak dostępnym dla pojęcia. W jej muzyce było nietylko upojenie, objawiała się w niej jakowaś wiedza tajemna, która odgradzała od świata i jak na samotnej pustyni okazywała nicość wszelkiej sprawy ludzkiej, budziła tęsknotę do najwyższej prawdy i w pewnych momentach kreśliła jej ślad, pozwalała dosłyszeć samo jej tchnienie. Niekiedy zbliżała się do granic już nie do przekroczenia dla umysłu i wówczas stawała się muzyką obłądu, dręczącą, upiorną. Zdarzało się to najczęściej, gdy Rita improwizowała swoje własne „przygrywki”, jak to nazywała sama. Wówczas Claude drętwiał, zamierał, przygniatało go coś w ro-

dzaju strachu, chciało mu się zasłonić uszy i chciało mu się własnym krzykiem zagłuszyć poczarne skojarzenia dźwięków, gdzie jęki rozpacz, głosy anielskie, szatańskie zgrzyty snuły się dokoła głównego motywu, który powtarzał się nielitościwy i kuł w duszę, jak młotem, zmuszając ją do podołania niepodobieństwu. Rita nie zważała zupełnie na swego słuchacza, ale zdarzało się nieraz, że udręczywszy go chaosem swych własnych nieodgadnionych myśli muzycznych, kołała go a zapewne i siebie samą fragmencem Beethovena, Mozarta, Bacha. Każdego mistrza przetwarzała po swojemu, interpretacją urojoną lub zda się jedynie trafną, zawsze niespodziewanie, nadspodziewanie.

Pewnego wieczoru grała marsza żałobnego z „Eroiki” i do wspaniałości obrzędu pogrzebowego na cześć bohatera wszczepiła taką głębię beznadziejnego żalu, tyle łez najserdeczniejszych, iż Claude odgadł bez trudu, że Rita wie już z całą pewnością o śmierci męża. W znaki pisma partytury, jedne dla wszystkich, włożyła cały własny ból i rozsunęła obraz bezmiaru surowego morza, samotne, zagubione w przestrzeni zwłoki bojownika, kołysane przez fale, pogrążane i wypływające na powierzchnię. Była to walka pośmiertna poległego żołnierza z przepaścią morską. Wciąga go głębia w swój wieczny mrok, oto już znikł. Jeszcze krążą nad tem miejscem biało-skrzydłe mewy, dotykają wody i wzbijają się wysoko, a on z rozkrzyżowanymi ramionami, bezwolny i bezwładny, pogrąża się w ciemnościach odmętu, opada coraz niżej, chwając się, kołując unoszony przez zmienne prądy głębin, aż w jakiejś godzinie, przeznaczonej mu w dniu urodzenia, dotknie niezmiernej dalekości dna i tam nareszcie spocznie...

Rita urwała nagle i okręciwszy się porywczym ruchem na taborecie, spojrzała promiennymi oczami z twarzą jasną, z uśmiechem.

— Pan nie zna jeszcze mojego męża, cóż to za człowiek, ten Fell... Pan nie ma wyobrażenia, takiego jak on nie znajdzie pan nawet w całej Ameryce... Prosto nie da się opowiedzieć! Zobacz go pan lada dzień i dopiero pan powie. Może przyjedzie jutro? Dawno, dawno powinien tu być...

I promieniała radością. Claude'a przeszył dreszcz.

* * *

Berlin przyjął Claude'a tak, jak należało powitać wroga, zdradzieckiego szpiega, który zakradł się, żeby toczyć i podkopywać żywą siłę Niemiec. Przyjął go mrozem i zadymką, trwającą od trzech dni. Nie było komu uprzętać śniegu, ludzie brnęli po kolana. Pokój hotelu był nieopalanym od początku zimy i termometr na ścianie wskazywał pięć stopni poniżej zera. Wojenna przepisowa żarówka zaledwie rozpraszała ciemności, szerząc w tem lodowatym wnętrzu nieznośną ponurość. Berlin tego wieczoru robił wrażenie miasta konającego, które niebawem opuszczą ostatni mieszkańcy. Wiatr hulał po ciemnych ulicach, miecąc i kręcąc śniegiem i wnet zacieślał ślady zrzadka przemykającego się przechodnia. Ogromne kamienice stały jak wymarłe, w niewielu oknach tliły nikłe światelka, sklepy pozamykane i zawiane śniegiem, a tu i ówdzie po drodze, pomimo że dopiero dochodziła godzina ósma, już się zbierały gromady ludzi i ustawiały się pod ścianami w kole na całą długą mroźną noc. Claude mijał czasami jako tako oświetlone lustrzane okna kawiarni i cukierni, ale ogromne sale stały pustką i niemal w ciemnościach — nie było kawy, nie było cukru, nie było gości.

(D. c. n.).

Zapadł już mrok. Arcyksiążę, wtulony w wielki płaszcz wojskowy, wziął pod ramię Marję i pociągnął ją szybkim krokiem na ścieżkę wśród drzew. Szedł tak prędko, że musiała biec obok niego, by dorównać mu kroku. Gdy znaleźli się pośród zarośli, zaczął iść wolniej.

— Agenci zgubili trop... Szpiegują mnie z wszystkich stron. Naczelnik policji, prezydent ministrów i moja żona każą mi szpiegować. Tropią mnie, jak zwierza... Straszne jest moje życie, mała miła Marjo!... I nie lękasz się mnie... Powinnaś uciekać przedemną.

Mówił urywanemi zdaniem; oddychał z trudem. Mimo to nie przestawał uskarżać się na swoich wrogów, którzy znajdowali się wszędzie, a którzy nie zatrzymają się w swojej pogoni, zanim nie zgnębią go. Mówił też o strasznych bólach głowy, wyczerpujących i odbierających mu siły. Podniecenie nerwowe wzrastało; mimo nadchodzącej nocy, Marja widziała błyszczące oczy Rudolfa, oraz jego pobladłą twarz.

Litość i przerażenie ogarniało Marję. Co dotknęło tak boleśnie Rudolfa?... Zbyt napięte nerwy nie mogły wytrzymać dłużej?... Miał gorączkę, rozchoruje się... Nie ośmielała się przerwać. A jednak, powinien był uspokoić się...

Szła, milcząc, obok niego. Ujęła go za rękę. To dotknięcie świeżej dłoni podziało na arcyksięcia. Powoli zaczął powracać do równowagi. Wreszcie, umilkł. Marja kładła całą swą miłość w swoje palce, zaciskające się dokoła palców Rudolfa. Milcząc, spowiadała mu się, jak mocno związana jest z nim, bardziej niż z życiem, aż po śmierć.

Noc zapadła nad nimi. Od czasu do czasu jakaś gałąź uderzała ich.

— Musimy rozstać się, Marjo — rzekł Rudolf miękkim tonem. — Nocą Prater jest niebezpieczniejszy od lasu.

Szedł, mimo ciemności, zupełnie pewnie. Marja dziwiła się. Niebawem drzewa zaczęły przersedzać się. Byli już na skraju lasu.

— Karetą hrabiny jest tam... — rzekł Rudolf, wskazując o kilka kroków zapalone latarki pojazdu.

— Dobry przewodnik ze mnie, prawda Marjo?... Proszę myśleć o tem tylko i przebaczyć mi.

Mówiąc to, arcyksiążę drżał jeszcze. Nagle, pochwycił młodą dziewczynę w ramiona i po raz pierwszy pocałował ją namiętnie w usta.

Marja wróciła sama do hrabiny. Pocałunek Rudolfa gorzał w niej. Płomień, który zapalił arcyksiążę, nie miał już zgasnąć.

* * *

Pędził czas. Nie było dnia, nie było godziny nie przeżywanej w gorączce i podnieceniu. Oczekiwany list, który nadchodził wreszcie; naznaczone spotkanie, które mimo przeszkód z obu stron przychodziło do skutku po tysiącnych trudnościach; wymiana spojrzeń i uśmiechów bądź w teatrze, bądź podczas przejażdżki po Praterze. Teraz, trzeba było sobie zapewnić towarzystwo niezastąpionej hrabiny Larisch; kiedyindziej, gdy „On“ był w drodze, musiało się czekać niespokojnie na pisma i gazety... czytało się

je z sercem ściśniętem i oddychało z ulgą, gdy żaden nagłówek wielkimi literami nie donosił o zamachu na następcę tronu. Marję trawiły kłopoty, a mimo to promieniała szczęściem; dręczyła ją obawa, że kto tylko zechce, wyczyta z jej twarzy płonąca namiętność, że narzuci się spojrzeniom najobojętniejszych ludzi, a więc zmuszała się do ukrywania uczuć przed swoim otoczeniem, do pokazywania jednakiej i obojętnej twarzy, do mówienia rzeczy, które stały się nagle obce, do śmiania się, spacerowania, bywania, tańczenia, słuchania mdłych słów i chowania w najtajniejszych zakamarkach duszy tych myśli prześladowających.

„Gdzie jest obecnie? Zapomniał o mnie? Kocham go“.

W godzinach samotnych rozmyślań Marja nie dopuszczała do swojej świadomości zagadnień przyszłości. Dokąd szła? Jaki będzie koniec tej wielkiej miłości? Jakże zajmować się tem wszystkim, gdy teraźniejszość tłoczy, czaruje, narzuca się swoim ogromem, teraźniejszość władca tyraniczny i fantastyczny, dzierzący w jednej dłoni bicz, a w drugiej — różę.

Nawet w okresie dni najszcześniejszych jakiś dręczący niepokój, dziwny, niewytłomaczony i bezpodstawny opanowywał Marję. Nocą — wyczekiwała długo na sen. Czasem, zasypiała, z oczami pełnemi łez.

* * *

Stan zdrowia następcy tronu pogarszał się. Doktor cesarzowej odbył poufną i tajną naradę z Loschkiem. Doktor był przy urodzeniu Rudolfa, znał niedomagania, by nie nazwać ich wadami organicznymi — jego przodków, któremi był niestety podwójnie obciążony! Wiedział, że mimo pozorów zdrowia, i siły, Rudolf był istotą nerwową, zmienną, i zawsze zagrożoną.

Doktor Wiederhofer potrafił zdobyć zaufanie arcyksięcia. Tego ranka prowadzili we dwoje poufną pogawędkę, zaciągając się dymem papierosów, przy butelce porta.

Doktor omawiał szeroko jedną z swoich ulubionych tez; dowodził, że wybrańcy tego świata, ci, na których ciąży największe odpowiedzialności, nie są naogół stworzeni, by znosić je. Ich życie jest twardsze i cięższe, a organizm słabszy.

— Wiem, że mogę mówić swobodnie z Waszą Wysokością — ciągnął doktor Wiederhofer — wiem, że mam do czynienia z umysłem światłym, obeznanym z najnowszymi teorjami naukowymi. W innych salonach tego zamku nie odważyłbym się wygłaszać moich zapatrywań, ale wobec Waszej Wysokości będę szczery. Dzisiaj wasze królewskie pokolenia gonią ostatkiem sił. I czy może być inaczej? Wasze powołanie jest ciężkim zawodem: praca, odpowiedzialność, ciągłe trwanie na stanowisku, ani chwili wytchnienia. Zresztą, a właściwie w dodatku, zawód ten pełnicie z ojca na syna, z pokolenia w pokolenie. Znużenie pomnaża się i przenosi spotęgowane z króla na jego następcę. Wreszcie, by dać dokładny obraz, muszę wspomnieć jeszcze, że rody królewskie koligają się z sobą. Od dziesięciu stuleci żadna

świeża kropla krwi nie dostała się do waszych rodów. Dziś wszyscy monarchowie Europy są spokrewnieni z sobą. Żenicie się tylko z kuzynkami... To, niebezpieczne...

— Wiem coś o tem, drogi doktorze — rzekł arcyksiążę pogodnym tonem. — Jestem przemęczony. Do licha, to znużenie dziesięciu wieków ciąży na moich biednych barkach! Jest pod czem paść. Ale że niema lekarstwa...

Stary lekarz potrząsnął głową.

— Niema lekarstwa, niema środka. Jedyne wyjściem byłoby prawo, które obowiązałyby dziedzica tronu, ażeby szukał żony poza zgubnym kołem rodzin panujących, w środowisku burżuazyjnym, arystokratycznym, w ludzie. Zdarzało się to w czasach bardzo odległych. Folklor poucza nas o tem. Wasza Wysokość zna pieśni i bajki, w których mowa jest o córach królewskich wyczekujących w zamczyskach, lub śniących w pałacach o pięknych rycerzach... Rycerz zjawia się i zabiera je. Albo też bajki o królewiczach, zakochanych w Kopciuszkach... Pobierają się i mają dużo, dużo dzieci. Krew miesza się i odświeża.

Świeża i roześmiana twarzyczka Marji ukazała się następcy tronu.

— Doktorze — rzekł — podzielam pańskie zdanie. Postaraj się, doktorze, nawrócić mojego ojca, a ja prędko będę nawrócony. Gotów jestem nawet unieważnić moje małżeństwo, tylko dlatego by wypróbować na sobie tę tak ciekawą teorię! Być może, znajdę Kopciuszka. Tymczasem...

— Tymczasem, Wasza Wysokość, nie należy nadużywać swoich sił. Oto jedyny praktyczny wniosek naszej dyskusji.

— Więc niech zażąda pan, doktorze, bym przestał żyć — odpowiedział Rudolf tonem, który zrobił wrażenie na starym doktorze. — Pan jest inteligentny i powie mi, jak wszyscy inni, ażeby stał się umiarkowanym. Jest to jedyna rzecz niemożliwa. Zechcesz, doktorze, spędzić jeden dzień wraz ze mną? Posłuchaj doktorze, a sam osądzisz. Tymczasem, proszę się napić kieliszek porta. Jeżeli smakuje, to pozwolę sobie przesłać doktorowi kilka butelek do domu. Niema równie dobrego wina w całym Wiedniu...

Nalał kieliszek wina doktorowi Wiederhofer i ciągnął:

— O wpół do ósmej budzi mnie Loschek. Przychodzi mu to z niemałym trudem, gdyż o tej porze śpię jak zabity, bo, niestety, położyłem się około trzeciej i brak mi snu.

— Właśnie, właśnie Eskulap zabiera głos — wtrącił doktor. — Niech się Wasza Wysokość udaje na spoczynek przed północą, a wszystko pójdzie, jeżeli nie dobrze, to w każdym razie znacznie lepiej.

— Cierpliwości, cierpliwości, osądzi pan za chwilę — mówił następca tronu. — O wpół do dziewiątej zaczyna się mój dzień pracy, pracuję z adjutantem, wojskowymi, daję audjencje, przyjmuję udział w komisjach. Staram się, ażeby wszystko wypadło jak najlepiej. Mam szereg pomysłów, tak jest, wyobraź sobie doktorze, że chociaż jestem arcyksięciem, mam szereg zamierzeń, mam nawet plany! A wie pan, co z tego wynika? Na stanowisku, jakie zajmuję, nie wolno mieć własnych poglądów, zapatrywań, myśli, bo gdy się je posiada, to zaraz przestają ufać. Gdy się ma wytknięty plan, rzecz przedstawia się jeszcze groźniej. Uchodzi się wtedy za człowieka wręcz niebezpiecznego... Jestem, doktorze, człowiekiem nie-

bezpiecznym, musi pan to wziąć pod uwagę. Więc też spotykam w kołach oficjalnych upartą opozycję, niechęć, która nie ustępuje. Ach! ci panowie są bardzo uprzejmi, bardzo usłużni, odnoszą się z całym szacunkiem. Gdy idzie o formę, ustępują we wszystkim, lecz treść nie zmienia się o jotę. Nic, nic i nic, oto rezultat mojej upartej i świadomej drogi krzyżowej, która trwa od lat...

Urwał, a po chwili ciągnął dalej.

— Bez względu na to, czego tknę, czem pragnę kierować, wszystko się powtarza. Jestem liberalny, wolnomyślny, a więc podejrzany. Możesz sobie doktorze łatwo wyobrazić, jak to podkopuje nerwy. Jest pan lekarzem. Z wielkim nakładem pracy znajduje pan leki na jakąś chorobę... Danem jest panu ratować nieszczęśliwych ludzi. A coby pan powiedział, gdyby pańscy koledzy uniwersyteccy złączyli się z sobą, po to wyłącznie, by szkodzić panu i pańskim środkom leczniczym, które pan wynalazł?

— Zdarza się to, Wasza Wysokość, zdarza się to nawet dość często.

— Lecz pan może wyleczyć ludzi, których ma pod swoją opieką. W tych wypadkach rezultaty są pozytywne. Ja nic nie mogę, a jednak mój pacjent jest ważny — tym pacjentem ni mniej ni więcej jest podwójna monarchja. Ci panowie głupcy pozwolą jej zdechnąć raczej, niż wypróbować jeden z moich środków. Widzę grozę położenia; dlatego jestem tak zgnębiony i znękany. Miewam tak straszne bóle głowy, że nawet pan sam daje mi z litości trochę morfiny. Gdy wstaję od pracy, mam tylko jedno życzenie: zapomnieć, co robiłem, moje gniewy, stracony czas, i tych głupców, z którymi walczyłem... Lecz nie skończyłem jeszcze. Muszę brać udział i to, jako osoba reprezentacyjna, w śniadaniach, kolacjach, obiadach, wieczorach. Jestem zobowiązany grać rolę, moją rolę — skonać można z nudów. Bywają obiady, na których, gdybym nie pił wina, to rzucałbym się na wszystkich współbiedniaków z gorącym pragnieniem wmordowania ich w pień! Nie wiedzą, że życie swoje zawdzięczają dobremu szampanowi, którym mnie raczą... I nie mówiłem panu, doktorze, o wszystkich intrygach omotujących mnie pajęczą siecią. Jestem nadzieją wielu zacnych ludzi. Spryciarze korzystają z tego i nie dają mi spokoju. A są tak zręczni, że często nie potrafię wymknąć się im. Ile czasu zabierają mi!...

Rudolf urwał, lecz tylko na chwilę.

— A kobiety, doktorze? Ponieważ rozmawiamy dziś swobodnie... cóż mam rzec o kobietach? Ażeby obrzydzić sprzedawczyniom cukierków słodczy, wolno im jeść w cukierni tyle czekoladek i smakołyków, na ile mają ochotę... Podobno, zaraz po pierwszym dniu następuje taki przesył, że nabierają obrzydzenia, raz na zawsze! Niestety, niestety, drogi doktorze, niema w Austrii zakazanego owocu dla następcy tronu. Powinienem czuć niesmak dla rzeczy łatwych... I doprawdy w pewnej mierze czuję obrzydzenie... (zawahał się na chwilę) w moim umyśle; sądzę, że doktor rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Lecz uczyniłem odkrycie. Otóż kobiety — co za przedziwna płeć, mój drogi doktorze, nigdy się z nimi nie skończy i są tak różnorodne, że to, co mówi się o jednej, nie da zastosować się do drugiej — kobiety dają też zapomnienie, jak mówi piosenka. I niech się doktor nie myli, nic nie jest mi tak potrzebne, jak zapomnienie. Oto słowo historii...

(D. c. n.).